



Ks. A. Kraetzig SI

Janssen
i historia Reformacji

Armoryka

Ks. A. Kraetzig SI

Janssen

i historia Reformacji

**Armoryka
Sandomierz 2016**

Seria: BIBLIOTEKA TRADYCJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ Nr 9

Redaktor serii: Andrzej Sarwa
Projekt okładki: Julisz Susak

Na okładce: Lucas Cranach Starszy (1472–1553), *Marcin Luter jako mnich* (1520),
licencja *public domain*, źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Plik:Luther_Cranach_the_Elder_BM_1837-0616.363.jpg

Edycja wg tekstu publikowanego w latach 1886-1877

Copyright © 2016 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-166-2

CZEŚĆ PIERWSZA

“Gęste ciemności zaległy niemiecką ziemię; wiedza, literatura, sztuka drzemały, przytłoczone ciężarem scholastyki, lub wyrodziły się w śmieszne subtelności. Poczucie religijne skarłowaciało, jeśli nie znikło zupełnie. Duchowieństwo świeckie i zakonne, począwszy od papieża, aż do ostatniego kleroika, głęboko było pogrążone w występkach, oddane całą duszą zabiegom o rzeczy doczesne a przede wszystkim o pieniądze. Tak – nawet odpustem i świętościami posługiwał się kler, aby zaspokoić swą chciwość. Socjalne stosunki w Niemczech straszne były i upokarzające zarazem. Czarna noc niewoli ducha, naukowej stagnacji, upadku religii i wszelkiego rodzaju nędzy, panoszyła się wkoło na schyłku średnich wieków. Jęk bólu i tęsknoty za wyzwoleniem brzmiał od Morza Północnego aż po brzegi Adriatyku!... Któż będzie tym upragnionym wybawcą? Oto on powstał w osobie Marcina Lutra, który nauką swą świat wyswobodził, narodom dał pokój i szczęście, Niemcy uwolnił spod jarzma chciwego Rzymu i podniósł do dzisiejszej wielkości”.

Tak mniej więcej wygląda krajobraz Niemiec w świetle zachodzącego słońca średnich wieków, skreślony malowniczym piórem protestanckich dziejopisarzy. A biada, stokroć biada temu, kto by o wiarygodności tego obrazu śmiało powątpiewać; bo wyłącznie nieomylna historiozofia niemiecka rzuci na jego głowę nieodwołalną klątwę potępienia! I rzecz dziwna, nieledwie rzekłbym cudowna: groźny ten anatemat przez trzy wieki trzymał wszystkich jakby na uwięzi pod wpływem czarodziejskiego zaklęcia. Reformacja uchodziła za dzieło Boga, którego wybranym, opatrnościowym narzędziem był Luter. Kościół Chrystusowy spaczył się i zeszeptniał: konieczną więc było rzeczą, aby Luter odświeżył go i sprostował. Dogmat to był historyczny, który nie tylko protestanci pisarze i kaznodzieje głosili, ale i wielu katolików czerpało z tych baśni, jakby ze źródeł najwiarogodniejszych, sze-

rząc już i w katolickich kołach niechęć i wstręt ku własnemu Kościołowi. Nadeszła wreszcie chwila, gdzie bojaźń kłątwy straciła swą władzę. Dzieła Möhlera i Döllingera wydały o reformacji sąd wprost przeciwny dziełom protestanckim. W końcu uderzył w nie grom najpotężniejszy, zjawilo się historyczne dzieło, źródłowo a sumiennie opracowane, które spokojną krytyką i przedmiotowym zestawieniem faktów, wywraćało po kolei wszystkie kłamstwa nieomylnych doktrynerów. Były to "Dzieje narodu niemieckiego (*Die Geschichte des deutschen Volkes*) od końca wieków średnich", napisane przez Dr. Janssen. Jak nowy a rozległy widok roztacza się tu przed okiem czytającego! "Gore! gore!" zawołali na to protestanci historycy; "po przeczytaniu tego dzieła runie cała nasza budowa, ogień przepali ją i zniszczy aż do fundamentów. Pomocy! Tak – rządowej nawet wzywamy pomocy: boć przecież sami nie możemy zamknąć ust Janssenowi".

Koryfeusze dziejopisarstwa epoki reformacyjnej dobyli najostrejszych piór, by zwalczyć strasznego przeciwnika. Kaverau, Ebrard, Köstlin ważyli każde słowo Janssen na szali najsurowszej krytyki. Ale niestety! wszystkie jego źródła, przeważnie protestanckie nawet, były nieposzlakowanej czystości – i dlatego pp. pastorom nie pozostało nic innego, jak krytykować, a raczej lżyć jezuickie tendencje, jezuicką logikę, jezuicką obłudę itp. Ale wkrótce ukazał się tom II, i oto aureola, okalająca dotychczas czoło nieśmiertelnego reformatora, rozsypała się w proch, a Luter, ów pogromca papizmu, stanął teraz w całej brzydocie swych sprzeczności i błędów z własnych jego pism wykazanych. Krytyka jeszcze zacieklej zaczęła szarpać autora, lecz dzieło jego szło wciąż naprzód a naprzód, i dziś stanęło już przy 4 (włącznie) tomie "Dziejów". W dalszym toku nieco bliżej w tym dziele rozpatrywać się będziemy, nie tak ze stanowiska krytycznego, jak raczej badając jego osnowę i prawdziwość i architektoniczny ustrój całości kształtu. Bo wszystkie cztery tomy razem wzięte, stanowią jakoby jeden obraz mozaikowy religijnych, socjalnych i naukowych stosunków w Niemczech. I ta właśnie przyczyna usprawiedliwia dotychczasowe milczenie pisma naszego o tym dziele.

Aby choć w części wykazać konieczność reformacji, a raczej, aby ją naukowo usprawiedliwić, potrzeba było wieki średnie a przede

wszystkim ostatni ich okres przedstawić w jak najgorszym świetle. Tak zwani reformatorowie wystąpić mieli na kartach dziejowych, jako narzędzia Boże, których posłannictwem była naprawa Kościoła. Potrzeba więc było nimbem chwały otoczyć ich skronie, a stan Kościoła najczarniejszymi skreślić kolorami. Wspomnieliśmy już, że w istocie tak też się stało, a pierwszy lepszy podręcznik protestanckiej historii kościelnej naocznie przekona nas o tym. Czy też to wszystko jest prawdą? Takie pytanie nieraz zadawali sobie katolicy, a nawet i sumienniejsi protestanci. Czy to wszystko jest prawdą? takie też pytanie postawił sobie Dr. Janssen. Odpowiedź na nie stała się dlań zadaniem życia całego. Przez lat 20 badał on wszystkie źródła i to nie tylko archiwa państwowe we Frankfurcie, ale i wszystkie urzędowe, protestanckie pisma. Dopiero po tyloletniej pracy przyszło na świat dzieło, które, jak to przyznają sami protestanci, usunęło piedestał spod nóg reformatorskiej legendy i doszło do tego rezultatu, że reformacja w naukowym i religijnym kierunku, przynajmniej tak, jak ją przedstawia protestancka legenda o opatrnościowym posłannictwie Lutera, najzupełniej była zbyteczną: bo już przedtem zaprowadził ją był, sam Kościół katolicki. To udowadnia czcigodny autor jasno i treściwie. Idźmy w ślad jego dowodów.

Okres zdrowego rozwoju i nowego życia w Niemczech, rozpoczynający się od połowy XV w., stoi w ścisłym związku z działalnością niemieckiego kardynała Mikołaja Cues, zwanego także Cusanus, jak również z wynalezieniem sztuki drukarskiej. Kardynał stoi na schyłku średniowiecza jak olbrzym duchowy jak prawdziwy reformator Kościoła i szkoły na ojczystej niwie. Już w r. 1451 rozpoczął on z rozkazu papieża swą czynność reformacyjną, tylko nie od zachwiania papieskiej powagi, ale przeciwnie od jej umocnienia. Opat Tritemius porównuje go do "Anioła pokoju i światłości, który w cieniach nocy i zamętu przywrócił jedność Kościoła, powagę najwyższej jego głowy umocnił i zasiał ziarno nowego życia". Nie naruszał on w niczym kościelnego organizmu a tym mniej wiary, bo trzymał się tej zasady, że "nie człowiek oczyszczać ma i odnawiać świętość, ale przeciwnie świętość człowieka odnawiać powinna". Dlatego więc zaczął reformować najprzód samego siebie. "Niezmordowany w pracy, pełen prostoty i skromności, miłosierny ojciec ubogich, przebiegał on Niemcy, po-

uczając i każąc, podnosząc i pocieszając. Wówczas to dźwignął on karność kościelną, podniósł kształcenie duchowieństwa i katechetyczne nauki ludowe, rozwinął czujność nad kaznodziejskim urzędem i wystąpił z nieprzebraną surowością przeciw nadużyciom". Tak skreślił Janssen na podstawie współczesnych świadectw postać rzeczywistego reformatora kościelnego w Niemczech. Nadto kardynał, jak świadczy Tritemius, posiadał całą wiedzę swego wieku, i dlatego to zwrócił on się najprzód do teologii, którą na nowo odbudowywać zaczął na podstawie mistrzów prawdziwej scholastyki; mistykę oczyścił z panteistycznych pojęć, którymi, niestety, przesiąknięta była na wskroś, i zażądał wreszcie umiejętniejszego traktowania dogmatyki. W naukach przyrodniczych on pierwszy na 100 lat przed Kopernikiem, tyle miał odwagi, że sklepieniu niebieskiemu pozorny tylko przypisywał obrót. Jego to wpływ natchnął Jerzego Feurbacha i Jana Müllera do głębszych badań przyrody, szczególnie w dziedzinie astronomii. On wreszcie pierwszym był w Niemczech odnowicielem gruntownych studiów klasycznej starożytności, studiów łączących w sobie dowcip z prostotą i swobodę z umiarkowaniem. W tym celu popierał wszystkimi siłami szkoły i stowarzyszenia naukowe a w szczególności związek "Braci wspólnego życia", których zadaniem było udoskonalać i rozpowszechniać znajomość oczyszczonych klasyków. Wiekopomnemu dziełu katolickiego reformatora był szczególniejszą pomocą wynalazek sztuki drukarskiej. Wielu protestantów utrzymuje, że Kościół katolicki był, i jeszcze teraz jest nieprzyjacielem tego wynalazku. Jedno to tylko z całego katalogu kłamstw historycznych, którym Janssen tak jasną i dobitną daje odprawę.

Kościół w tej pięknej zdobyczy ludzkiego ducha bynajmniej nie upatrywał zyskownego interesu, ale tylko nowy środek do rozwinięcia działalności misyjnej w duchu chrześcijańskim. Tak ją pojmował znakomity pedagog Jakub Wimpfeling (1450-1528), profesor literatury i dziekan katedralny w Heidelbergu. "Jak niegdyś wysłańcy Zbawiciela w świat wyruszali, tak i dziś z niemieckiej ziemi uczniowie sztuki świętej rozchodzą się po wszech krajach, a ich księgi drukowane, będą jakoby nowymi heroldami Ewangelii, kaznodziejami prawdy i umiejętności". Kościół był właśnie jednym z pierwszych opiekunów i promotorów tej sztuki. Za rozpowszechnianie książek nadane były odpu-

sty, a duchowieństwo świeckie i zakonne najczynniej popierało ich wydawnictwa. Tak np. trudno było w Niemczech w znaczniejszym jakimś mieście znaleźć drukarnię, w której by duchowni nie mieli żadnego udziału. W Rzymie, bezpośrednio po wynalezieniu sztuki drukarskiej, zakładano drukarnię jedną po drugiej. W r. 1445 znajdujemy ich tam dwadzieścia; a największa ich część zawdzięcza swój byt fundacjom kleru. Pośrednictwo i wpływ duchowieństwa był też najświetniejszym środkiem ułatwiającym, a raczej umożliwiającym wszechstronne i równoczesne prowadzenie handlu książkowego. To miało miejsce przede wszystkim w Niemczech. Na pierwszym planie stała tu Biblia. Po r. 1500 wydano Wulgatę blisko 100 razy; a przed zawichrzeniem Lutrowym Kościoła wyszło spod prasy przynajmniej 15 zupełnych wydań Biblii w narzeczu hochdeutsch i 5 w narzeczu niederdeutsch; prócz tego 25 osobnych wydań Ewangelii i Listów powszechnych. Śmiesznym więc jest twierdzenie, że "dopiero Luter Biblię spod ławy wyciągnął". Obok Pisma św. wyszło staraniem kleru dokładne wydanie Ojców Kościoła, dawnych scholastyków i współczesnych teologów, a wydawnictwo to liczy się po dziś dzień do najwspanialszych i najcenniejszych zabytków. Ilość dzieł wydanych po r. 1500 a dotychczas jeszcze istniejących, można bez żadnej przesady podnieść do poważnej liczby 30.000! Bazylea miała 16, Augsburg 20, Kolonia 21 drukarni. U norymberskiego drukarza Koburgerta pracowało 100 czeladników, wprawiając w ruch 24 prasy drukarskie, a to jeszcze tak dalece było niedostateczne, że nieraz musiał dawać dzieła do druku poza swą pracownię. Że zaś w istocie czytano wówczas książki, tego dowodzi piękna książeczka pt. "Przewodnik dusz" (*Der Seelenführer*) w której czytamy te słowa: "W dzisiejszych czasach każdy chciałby i czytać i pisać". Możnaż wobec takich faktów powtarzać zużyte już formułki o ciemnocie i zacofaniu wieków średnich?!

Szlachetny zapał do wszelkiej wiedzy rozbudził się wszędzie, nie wyjmując żadnej klasy społeczeństwa. Spostrzegamy to i w niższych nawet szkołach i w religijnym pouczeniu ludu. Po miastach i po wsiach ulepszają się dawne szkoły, a powstają nowe. Kościół nie pozostał tutaj bezczynnym. Rodziców upominał i nakłaniał, by wysyłali swe dzieci do wiejskich szkółek; ustanowił nagrody za pilność w nauce i uczęszczaniu; postarał się o wystarczającą płacę dla nauczycieli,

a z drugiej strony przypominał tym ostatnim całą doniosłość zadania, całą szczytność ich posłannictwa. I zaprawdę zrozumiał lud te ojcowskie upomnienia Kościoła. Szanowny autor na poparcie tego przytacza jeden z wielu podobnych przykładów.

W miejscowości Weeze pod miastem Goch, dostawał nauczyciel od gminy: 4 złr., 3 ćwiertnie żyta, 2 pszenicy, 2 owsa i 60 wiązek słomy. Nadto miał wolne pomieszkanie, sad i ogród warzywny a przy tym rozległe łąki. Każde też dziecię winno było płacić mu w zimie 5 a w lecie 3 *szybery* (28 takich *szyberów* = 1 złr.) szkolnego. Wreszcie za służbę w kościele otrzymywał on 2-3 złr. Tymczasem obaj burmistrze w Goch mieli tylko 5, katedralny zaś budowniczy we Frankfurcie 10 złr. rocznej pensji. Więc stosunkowo wiejski nauczyciel miał się lepiej od miejskich burmistrzów itd. Podobne stosunki istniały prawie w całych Niemczech.

Co zaś do religijnego wychowania, to z woli i z rozporządzenia Kościoła w domu rodzicielskim zaczynać się miało, w szkołach rozwijać, a uzupełniać przez kazania, nauki katechetyczne i czytanie religijnych książek. Zasady te nie pozostały tylko teorią w Kościele katolickim, lecz przeszły w wykonanie praktyczne. Dość przypomnieć jakim był wykład religii w szkołach katedralnych, w Trivium i Quadrivium. Nie gorzej też, lubo w skromniejszych rozmiarach, wywiązywały się ze swego zadania szkoły elementarne po parafiach. Jak wielką zaś była cześć słowa Bożego – tego dowodzą statuty w tym czasie odbytego diecezjalnego synodu, liczne zakłady fundacyjne dla kaznodziejów, i nadzwyczajny pokup zbiorów kazań drukowanych. Tak np. do r. 1500 kazania dominikanina Herolta rozszerzyły się w 40.000 egzemplarzy. Świadczą też o tej czci słowa Bożego liczni pisarze ówczesni, świadczą i książki do nabożeństwa z owych czasów, pełne gorącej zachęty do słuchania słów Bożych, np. *Das Weihgärtlein* itp. W Lubecie domagano się nawet, aby niesłuchający w niedzielę kazania, karany był klątwą kościelną. Pisma katechetyczne odznaczają się znakomitymi naukami, szczególnie w tych punktach i kwestiach, które spowodowały podjęcie reformy w katolickim Kościele. Lecz nie ma tu ani cienia nawet przesadnej czci świętych lub błędnej nauki o odpuszczeniu. Wszystkie książki przez Kościół używane, zawierają czysty, nie-

skażony depozyt apostołskiej wiary. spomiędzy wielu przykładów przynajmniej jeden tutaj przytoczymy.

W Bazylei wyszedł drukowany "Wstęp do św. Kanonu", w którym taki znajduje się ustęp: "Wnijdź do skrytości serca twego, znajdź w nim Jezusa i zamknij się w świętych Jego ranach. Dalekim niech będzie od ciebie zaufanie w twych własnych zasługach, bo całe zbawienie twoje zawisło na krzyżu z Jezusem, w którym wszystką nadzieję pokładać winienes".

Gdzież więc ów tryumf Lutra, przywłaszczającego sobie monopol ufności w Zbawicielu świata? Nie mniej błędnym jest zdanie, że dopiero Luter otworzył ludziom karty Pisma św. i czytać w nich nauczył. Janssen przytacza wiele ekshortacyj w języku staroniemieckim napisanych, a zachęcających do czytania Pisma św. Czytanie to podówczas nie miało niebezpieczeństwa, bo przed Lutrem jeszcze nie było tylu błędnych przekładów i podmiotowych objaśnień, w których podsuwano osobiste swoje pojęcia i zasady. I z tej właśnie przyczyny musiał Kościół zakazać czytanie Pisma św. w ogólności. Pozwalał jednak i dziś pozwala ludziom świeckim czytać Biblię w języku ojczystym, ale tylko taką, która i odpowiednimi notami jest zaopatrzona i uzyskała aprobatę kościelną. Więc pod tym względem Luter nic nie wniósł nowego, lecz owszem popsuł zwyczaj już istniejący, w którego obronie sam później przeciwko własnym przyjaciółom wystąpił, kiedy ci opierając się na zasadach jego subiektywizmu, poczęli tłumaczyć Pismo św. samowolnie i niezgodnie z jego duchem.

Przejdźmy teraz do ówczesnych szkół średnich. Gerhard Groot założył w Deventer wzmiankowane już *Bractwo życia wspólnego* (*Fra- tres de communi vita*). Stowarzyszenie to wywierało potężny wpływ na szkoły średnie. Pod koniec XV wieku szkoły te sięgały od Renu aż w głąb Szwabii, od Skaldy aż do Wisły. Oczywiście rdzenną częścią zadania tych szkół było chrześcijańskie wychowanie, tj. religijne kształcenie serca i rozumu, i gdyby system ten był przetrwał aż do naszych czasów, nie zaznalibyśmy w szkołach tej strasznej nędzy moralnej, na jaką nieraz patrzymy. Lecz nie tu kończyła się czynność szkół średnich. Nauki nie były bynajmniej zaniedbane, lecz owszem bujnie się rozwijały pod wpływem czujności i prawdziwie wzorowej metody. Zobaczmy tylko, jakich uczniów wydała ta szkoła. Kardynał Cusanus,

Rudolf Agricola, Ludwik Dringenberg itp. są to imiona czcicielom klasyków, a nawet i zwolennikom humanizmu z pewnością nieobce. Oni byli ojcami prawdziwego humanizmu – nie owego humanizmu młodo-niemieckiego, który po r. 1510 otwarcie przeciw Kościołowi wystąpił. Starsi, czyli pierwotni humaniści poświęcali się wprawdzie studiom języka łacińskiego, ale przy tym nie zapominali mowy rodzinnej i ojczystej literatury, która u ich młodszych następców istotnie poszła w pogardę. Pierwsi także walczyli przeciw chorobliwym objawom scholastyki, ale nigdy przeciw scholastycznej teologii, a tym mniej przeciw wierze i organizacji Kościoła. Przy tym byli to mężowie nieposzlakowanego charakteru i nieskażonych obyczajów, różni zupełnie i pod tym względem od młodszych humanistów takich jak U. Hutten et consortes. Świetnie kwitły nauki szczególnie nad Renem i w Westfalii. Autor ukazuje nam ten ruch i to życie, jakim wrzały ówczesne zakłady naukowe.

Podobnie i wychowania dziewcząt nie zostawiono odłogiem. Miasto Ksanten miało wyższe szkoły żeńskie, a Wormskie klasztory przepełnione były uczonymi mistrzyniami. Rozumie się samo przez się, że szkoły te w owych czasach niepodobne były w niczym do szkół dzisiejszych, bo... jeszcze nieznaną była emancypacja kobiet, ani jej szalone wybryki. Starzy pedagogowie trzymali się tej zdrowej zasady, że władze i zdolności dziecka nie tylko rozwijać należy, ale też uszlachetniać i udoskonalać. Oni wszczepiali w młodociane serca ochotę i zamiłowanie do nauk i nie przeciążali mnóstwem niepotrzebnych, a często wprost szkodliwych przedmiotów, które w życiu praktycznym i na stanowiskach socjalnych żadnego zastosowania nie mają. Taktyka tych mistrzów zasadzała się na zaprawianiu młodzieży do właściwych czynności i nauk przydatnych w całym późniejszym życiu. Studium starożytnych klasyków służyło za "gimnastykę samodzielnego sądu". Taki system doprowadzał w końcu do tego, że uczniowie opuszczali szkoły z jakimś pojęciem i zrozumieniem całości i szli z zapałem na studia specjalne do uniwersytetów.

Jedna tylko Brandenburgia pozostała w tyle. W ogóle zaś o całym szkolnictwie niemieckim wyraził się sam Erazm Rotterdamski: *tot fere sunt academiae, quot oppida*. Czyż więc potrzeba więcej jeszcze

dowodów na odparcie zarzutu, że przed reformacją głęboka noc ciemnoty średniowiecznej pokrywała Niemcy?

Jeśli już w szkołach średnich nauki tak bujnym tryskały życiem, cóż powiedzieć o uniwersytetach! W okresie od roku 1460 – 1510 wzniesiono 9 nowych uniwersytetów (W Greifswalden 1456, w Bazylei 1461. W tymże roku i we Fryburgu. W Ingolstadzie i Trewirze r. 1462. W Tybindze i Moguncji r. 1477. W Wittenberdze 1502 r. We Frankfurcie nad Odrą 1506 r. Nadto dawniej już założone: w Pradze, Kolonii, Wiedniu, Heidelbergu, Erfurcie, Lipsku), a że do nich licznie uczęszczano, o tym przekonują nas liczne przykłady. Tak np. Kraków miał 15 000, Wiedeń 7 000 słuchaczy itd. Dyplomy fundacyjne wszystkich uniwersytetów, oprócz Wittenberskiego, nadawał papież, i wtedy dopiero przysługiwały im wielkie prawa i przywileje. "Papieże byli pierwszymi i największymi patronami uniwersytetów". Takie świadectwo dają sami przeciwnicy i nieprzyjaciele nasi. Papieże nadawali wszechnicom, tym "wiernym córom Kościoła" bogate posiadłości, zachęcając do podobnej hojności duchowieństwo, szlachtę i książąt. Zawdzięczały one także szczodroblewości papieskiej wolną jurysdykcję sądową, "swobody i przywileje, w które żadnemu królowi ani kanclerzowi nie wolno było wkraczać" (r. 1445. Mowa wstępna Rektora Magn. Lipsk). Miały one pewien międzynarodowy charakter, od Ojca wszech-chrześcijaństwa im nadany, i jako taki powszechnym cieszący się uznaniem. Jako niezależne "zamki wolności" wyszły one z rąk Kościoła i nikt im tej niezawisłości nie zaprzeczał. Dopiero rządowa organizacja kościoła na zasadach protestantyzmu oparta i heglowska omnipotencja państwa (Staatsomnipotenz) zepchnęła je do rzędu instytucyj państwowych tak, że dziś nawet pedela samodzielnie przyjąć im nie wolno; a cóż mówić o wyborze profesorów! Ab initio non fuit sic. Jaki to ruch, jakie życie niegdyś tam wrzało! Najwybitniejsze stanowisko zajmowała Kolonia. W teologii system scholastyyczny panował, ale i klasycyzm nie był na ostatnim planie. Z uniwersyteckich matrykuł przekonać się można, że wszyscy znakomitsi humaniści kształcili się w Kolonii. Od r. 1484 Wilhelm Raymund Mithridates wykładał tu języki: grecki, hebrajski, arabski i chaldejski. Katedrę języka łacińskiego zajmował Andrzej Cantor (1487). Erazm Rotterdamczyk utrzymywał wielkie stronnictwo literackie (1496),

a franciszkanin Diderich Coelde, znakomity kaznodzieja ludowy i autor niemieckiego katechizmu, powszechniej zażywał wziętości. Do znakomitości należał też Bartłomiej z Kolonii i dziełem: *Litterae obscurorum virorum* osławiony Ortuin Gratius. Sam nawet Melancton wyznał otwarcie, że studia w Kolonii pod kierownictwem znakomych mężów, w pełnym były rozkwicie. Jedna jeszcze postać zasługuje na osobne wyszczególnienie: Werner Rovelnik, przeor Kartuzów, który piastując katedrę teologii, egzegezy i prawa politycznego, wielu nawet profesorów do grona swych słuchaczy zaliczał.

Siedliskiem ruchu na polu naukowym niemniej ożywionego, był także Heidelberg. Przede wszystkim kwitły tu studia historyczne, które Rudolf Agricola swą Historią Powszechną użyźnił i uświetnił. Głównym motorem ruchu naukowego jak świadczą zgodne zdania współczesnych pisarzy, był biskup Wormski Jan de Dalberg, który pełniąc urząd kuratora akademii, podniósł ją do szczytu świetności. Drugą gwiazdą był Jan Reuchlin, mąż europejskiej sławy, którego wiedzą karmią się po dziś dzień nasi filologowie. Gorący współudział znalazła ta wszechnica w "nadreńskim towarzystwie literackim" a szczególnie u opata Tritemiusa, łączącego w sobie głęboką wiedzę z niemniej głęboką pobożnością.

Na Uniwersytecie Fryburskim należał do pierwszorzędných gwiazd naukowych Ulryk Zasius, zwany reformatorem jurysprudencji. Wimpeling jako pedagog, Reuchlin jako hebreolog a Zasius jako jurysta – to trzy reformatorskie meteory wieków średnich, w zakresie tych umiejętności specjalnych. Wszyscy trzej lubo humaniści pozostali wiernymi synami Kościoła. Zbyt daleko odwiodłoby nas od zamierzonego celu, gdybyśmy chcieli podawać szczegółowe sprawozdania o naukowej działalności wszystkich uniwersytetów. Wskazujemy więc tylko odnośne miejsce u Janssena: tom I, str. 30-129, gdzie znajduje się dokładny, ciepły i przedmiotowy rysopis najcelniejszych sił każdej wszechnicy z osobna. Do jakich więc wniosków upoważniają nas te wszystkie dowody?... Czyż możemy jeszcze wierzyć protestantom, że w końcu średniowiecza literacko-naukowe zaćmienie ogarnęło niemieckie krainy i dopiero zjawić się musiał Luter, aby je rozproszyć? Czyż jeszcze można naiwnie dawać temu wiarę, kiedy już Cusanus przeprowadził naprawę Kościoła, a od lat 50 dawniejsi humaniści re-

formowali wszystkie niedostatki w naukach? Fałsz więc to oczywisty. W Berlinie tylko i w Marchii Brandenburskiej panowały ciemności, a wyjaśnienie tego faktu podaje nam uczony Elektor Brandenburski Joachim: "Nie ma zakątka na niemieckiej ziemi, w którym by można znaleźć tyle niezgód, okrucieństw i morderstw, co w naszej Marchii". Dopiero w r. 1539 powstała w Berlinie pierwsza drukarnia a w 1659 pierwszy pojawił się księgarz.

Jak w naukowym zakresie tak i w dziedzinie sztuki jarzyło się od dziennego światła. Tu występuje wspaniała postać Cesarza Maksymiliana jako głównego na tym polu kierownika i organizatora. Nie tylko był on zapalonym miłośnikiem, ale też i hojnym protektorem nauk i sztuki, nie szczędząc niczego, gdy chodziło o ich podniesienie. Teologów, historyków, poetów gorąco popierał i opiekował się nimi, ale artyści i humaniści szczególniejszej doznawali od niego łaski i pomocy. Najlepszy dowód jego artystycznego smaku i znawstwa sztuki daje nam wspaniały grobowiec w Innsbrucku, którego plan był własnym jego dziełem. Żaden kraj nie posiada podobnego mauzoleum ani co do pomysłu, ani co do wykonania. Za przykładem cesarza szedł cały naród, i właśnie wówczas w dzieła sztuki wszczepiał rdzeń ducha i treść życia swego. Dzieła takie – to najlepszy termometr moralnej wielkości narodu, to najwznioślejsze świadectwo jego wiary i patriotyzmu. One dowodzą też jasno, że Kościół jak na polu naukowym, tak i tutaj był jeszcze panem serc i umysłów; i nie powstrzymując bynajmniej ich polotu, podawał im właśnie w tajemnicach wiary, przedmiot, siły i środki do wykonania najwspanialszych i najidealniejszych utworów malarstwa i architektury. Stąd pochodzi, że właśnie w tej wzgardzonej epoce tak żywo się uwydatnia najszlachetniejsze poświęcenie się dla wyższych, nadprzyrodzonych celów, które dawnym kapłanom sztuki świeciły przewodnią gwiazdą ideału. Kościół oddawał sztukę na służbę Bożą, upatrując w niej uzupełnienie ustnego i pisemnego wykształcenia narodu – a prawdziwie wielcy mistrzowie zrozumieli to święte posłannictwo sztuki, i ujmując myśl swą w kształty cielesne, chwałę Bożą i pożytek ludzi mieli zawsze na myśli. Świętością i majestatem przedmiotu chcieli obudzić i rozkrzewić poczucie i miłość dóbr wyższych, idealnych... i dlatego unikali *powszedniego poziomu*. Takich obrazów skandalicznych, jakie odsłonił przed nami niedawny proces

Graewego w Berlinie lub najświeższy w Wiedniu, okazując straszny upadek uroczej niebios mieszkanki – takich potwornych płodów wyobraźni, ciemnota wieków średnich oczywiście nigdy nie wydała! A jednak i dziś jeszcze ze zdumieniem przypatrujemy się średnio-wiecznym arcydziełom w Dreźnie lub Monachium. Twórcy tych arcydzieł poświęcali się sztuce nie by zadowolić własne żądze lub schlebiać namiętnościom drugich, lecz by wolę Bożą jak najdoskonalej spełnić. Wszystkie gałęzie sztuki wiązały się razem w jedną, harmonijną całość. Architektura, rzeźba, muzyka, malarstwo, z jednego wyrastały korzenia i z jednej zasadniczej snuły się myśli. Budowniczy, rzeźbiarz, muzyk i malarz nie pracowali odrębnie, niezawisłe od siebie, ale przeciwnie, wspólnymi siłami w jednym dążyli kierunku, owiani tym samym tchnieniem religijno-narodowego uczucia. Ta jedność sztuki tworzyła arcydzieła, a wnikając we wszystkie warstwy narodu, budziła wszędzie żywe zajęcie, jakiego próżno by szukać w czasach późniejszych. Niemiecka sztuka zawdzięcza całą swą siłę temu właśnie religijno-narodowemu charakterowi; a w miarę jak ten charakter się zacierał i ona też ze swych wyżyn spadała. Jak potężnie tętni życie religijne na obydwóch wielkich zjazdach niemieckich kamieniarzy w Regensburgu (1459) i Spirze (1464), gdzie na mocy wspólnych statutów, poddali się oni pod zarząd i kierownictwo czterech miast głównych: Strasburga, Kolonii, Wiednia i Berna. Jak piękne postavili tam zasady życia: "Bóg, sztuka, sprawiedliwość, cnota niech będą naszym godłem – a z daleka chrońmy się pijaństwa i próżnych przysiąg, przekleństw i złych obyczajów". I dlatego nie dziw, że Włosi naonczas Strasburskich sprowadzali mistrzów do pomocy przy budowie Mediolańskiego tumu (1490). Florencja, Orvieto, Asyż były pod kierownictwem mistrzów niemieckich, a Włoch Paweł Jovius domagał się, aby ziomkowie jego do Niemiec na naukę budownictwa jeździli. Według jednozgodnych świadectw, niemieckimi wzorami posługiwały się do budowy katedralnych kościołów: Salisbury, Ely, Lincoln, Winchester, Gloucester, Exeter i inne – w Anglii, a Barcelona, Leon, Oviedo, Sewilla – w Hiszpanii i Portugalii. W Burgos wznosił mistrz koloński najwyższą fasadę tamtejszej katedry. Aż do Polski i Węgier sięgał duch sztuki niemieckiej, czego najlepszym dowodem sama stolica Jagiellonów.

W tymże okresie (1450-1515) i w północnych Niemczech wznosiły się wspaniałe kościoły i tury. W Berlinie, Brandenburgu, Wrocławiu i Gdańsku, słynne świątynie: Najświętszej Maryi Panny, św. Jana itp. Elbląg, Havelberg, Saksonia i Turynia, Budziszyn, Brunszwik, Chemnitz, Koburg, Duderstadt, Eisleben, Fryburg, Hildesheim, Lipsk, Magdeburg itd., posiadają w kościelnych budowach najwspanialsze pomniki architektury. Niepodobna tu wymieniać wszystkich znaczniejszych budowli, które podówczas w Niemczech powstały. Samych tylko większych a świeżo wystawionych kościołów liczonego więcej niż 200, a między tymi znajdowały się też budowle pierwszorzędne jak np. w Ulmie, Pradze, Kolonii itd. Na budowę takich dzieł sztuki składał się cały naród: rycerz dawał na ofiarę swój pancerz, dziewica swe klejnoty, mieszczanin lub kupiec znosił pieniądze. Jakiś parobek złożył 6 drobnych denarów, jakaś staruszka 14 itp. Częstokroć ofiary takie nadchodziły w postaci kur, cieląt, nierogacizny, co wszystko karmili piekarze aż do zupełnego ich utuczenia. Znoszono też narzędzia, domowe sprzęty, ubrania – słowem wszystko, co tylko spieniężyć się dało. Z takich składek powstał tum frankfurcki. W podobny też sposób wzniesiono i Ulmską katedrę, której budowa pochłonęła 9 beczek złota; a olbrzymią tę sumę złożyli sami tylko obywatele, "bez obcej pomocy".

Tym to sercom pełnym żywej wiary, temu zgodnemu współdziałaniu całego ogółu, tej powszechnej ofiarności ze strony najbogatszych i najuboższych, mieszczan i wieśniaków, duchowieństwa i szlachty, stowarzyszeń, cechów i bractw, zawdzięczały domy Boże nie tylko swe istnienie, ale i całą ozdobność wewnętrzną, całe bogactwo najznakomitszych dzieł sztuki.

Czyż więc te wszystkie pomniki artyzmu, te skarby średniowiecznych arcydzieł nowym mają być znakiem zacofania i ciemnoty, skreślonej w reformatorskich legendach z tak niezachwianą pewnością siebie? Czy też może istotna wartość reformacji ma polegać na druzgotaniu lub obracaniu w perzynę owych drogich zabytków wiarą i sztuką wzniesionych, w czym przecież spokojni i rozsądni protestanci nawet, upatrywali barbarzyństwo i zupełną sztuki niemieckiej zagładę. Norymberski radca, w r. 1552 kazał 900 funtów najpiękniejszych, srebrnych kosztowności skruszyć i przetopić. Cudzoziemcy, dzieła Al-

brechta Dürera wywozili furami. W Ulmie obliczono tylko na wagę, wartość złupionych skarbów kościelnych, na 300.000 zł ówczesnej monety. W St. Gallen 40 wozów naładowanych dziełami sztuki, od razu wrzucono na stos! W Zurychu przez 13 dni trwało pustoszenie najcenniejszych pamiątek!... Tym sposobem zaginęły tysiące dzieł niemieckiej sztuki ze szkół: Kolońskiej, Brygskiej, van Eycka, Memlinga, Ruisdae'a, Holbeina, Dürera.

Obok sztuk plastycznych, nie zapominano też o starannej uprawie muzyki i śpiewu. Potrzeba ich wypływała z ducha Kościoła, czyli jak powiedział Reichensperger, były one, koniecznym "uzupełnieniem średniowiecznego stylu kościołów" a jako styl ten nastrojał duszę do głębszej rozważki i wznioślejszych uczuć, tak i średniowieczne pieśni płynęły majestatycznie wzdłuż naw gotyckich, a wzbijając się pod strzeliste sklepienia, i ducha ludzkiego wraz z sobą w górę unosiły.

Przedstawicielami poniekąd wszystkich następnych szkół muzycznych byli: Jakub Obrecht i Jan Orkenheim. Łatwo się domyślić, że i w śpiewie i w muzyce przeważała melodia gregoriańska. Do pierwszych, w tym względzie, znakomitości należał Henryk Fink (1492) królewski kapelmistrz w Krakowie, i Mahn, cieszący się sławą prześlawną Palestriny.

Poważnie rozlegał się śpiew wśród kolumn wyniosłych tumów, ale za to tym weselej, tym lotniej brzmiał poza ich ścianami: na zamkach rycerzy, na kiermaszach i na wszystkich uroczystościach ludowych. Skoczno, komicznie lub szorstko dźwięczała muzyka i płynęły pieśni w przedstawieniach dramatycznych – a szczególnie w grze zapustnej. Z wyrazem ironii i satyry w "Okręcie głupców" (*Narrenschiff*) dobrze znanego Sebastiana Brandta i w "Zwierciadle rządów dla dworów książęcych" (*Spiegel des Regiment für Fürsten-Höfe*), gdzie obłuda i pochlebstwo stoją pod pręgierzem pogardy. Podniosłą i pełną szlachetnej godności, była muzyka w tak zwanych przedstawieniach religijnych. Treścią ich bywały tajemnice wiary, np.: Narodzenie Chrystusa Pana, gdzie wszystko około żłóbka się skupia, śmierć Jego itp. Osoby alegoryczne rozpoczynały grę. Najznacniejsza sztuka nosiła tytuł: "O powstaniu i upadku Antychrysta".

Przedstawienia takie dawano najprzód w kościołach, później na cmentarzach a w końcu na rynkach. Dla studentów przedstawiano ko-

medie poetów łacińskich w tymże języku lub też studenci sami je odgrywali. Wydawnictwem podobnych dzieł zajmowali się zwykle duchowni. (Wyśmienity artykuł o średniowiecznych teatrach, zob. w "Historisch-politische Blätter", t. VI, 9-37).

Nie mniej pisano też prozą. Ale najbujniej i najdoskonalej rozwinął się w tym czasie rodzaj prozy opowiadającej, historycznej i powieściowej. Koloński Seelentrost zamieszczał nowele i bajki, tchnące naiwną prostotą i szczególnym wdziękiem. Tymiz zaletami odznaczały się bajki i podania (Sagen) Hermana Cornera, dominikanina z Lubeki. A owe kroniki, w każdym naówczas spisywane mieście, z jakąż dzisiaj czytamy rozkoszą. Np. kronikę Austriacką proboszcza Jakuba Unresta, Norymberską i inne. Za przedmiot do opowiadań ludowych brano zwykle wypadki z życia wielkich bohaterów jak: księcia Ernesta, Wilhelma austriackiego, Fryderyka Rudobrodego, Tristana i Izoldę albo Meluzynę, wzór najwierniejszej macierzyńskiej miłości itp. Kiedy więc w żyłach niemieckiego narodu życie naukowe i religijne najsilniejszym uderzało tętnem, wtedy na widnokrzęgu politycznym smutny przedstawiał się widok. Niezmordowany kardynał Cusanus skierował całą swą uwagę na przebieg i stan życia publicznego. Przejęty zapalem dla idei państwa rzymskiego w niemieckim narodzie, pracował bez wytchnienia, przedstawiając na sejmach projekty reform. Wprawdzie zarządzono tu niektóre ulepszenia i była nadzieja, że nieszczęście, którego groźne zbliżanie się, dla niezgód niemieckich książąt, przepowiadał już Machiavelli, da się jeszcze odwrócić. Cesarzka egzekutywa straciła swoją moc przez to, że naruszanie krajowego pokoju (Landfriede) i pogwałcanie praw wszelkich uchodziło bezkarnie. Przede wszystkim zażądał kardynał przywrócenia niemieckiego prawa; lecz tego nigdy uzyskać nie zdołał: bo nowe prawo rzymskie nabyło wzięcia u książąt, i już nawet na zewnątrz objawiać się zaczynało w wielu cezaro-papistycznych zachciankach.

Na początku XVI w. kolosalne bogactwo kraju znacznie się zmniejszyło pod wpływem rzymskiej idei koncentrowania majątków w jednym ręku. Podniosły się skargi na ubytek pieniędzy, na drożyznę żywności i szkodliwe jej podrabianie – słowem na uciemnienie klasy robotniczej przez właścicieli. Jeden tylko Kościół działał wytrwale a łagodząco na stosunki socjalne. Stanęło mnóstwo dobroczynnych insty-

tucyj, szpitali, domów przytułku, gospód i ochronek. Na pokrycie kosztów starczały dobrowolne datki i fundacje kościelne i szkolne, tak że ani rząd, ani obywatele łożyć na to nie potrzebowali. Kościelne zakony i stowarzyszenia bez żadnych ostentacyj rozwinęły olbrzymią działalność w niesieniu pomocy ubogim i pielęgnowaniu chorych. Wspierać i osładzać los ubogich było zadaniem wielu klasztorów. To też wieki średnie nie znały piekących kwestyj socjalnych. Kościół występował z całą energią i stanowczością przeciw lichwie i wszelkim nadużyciom, jak tego dowodzą liczne sobory prowincjonalne i synody między r. 1451 a 1515 odbyte. A jednak w początkach XVI w. i duchowieństwo, szczególnie w wyższych swych członkach, prądem cząsu porwane innymi poszło drogami... Chętnie to przyznajemy: bo nie urząd i godność, ale człowiek wikła się w błędach. Zresztą reformatorski duch niestrudzonego kardynała nie mógł przecież wszystkim zapobiec nadużyciom. Ale pomimo zwykłych objawów ludzkiej słabości, historyczny obraz dogorywającego średniowiecza był i zawsze pozostanie w zupełnej sprzeczności z karykaturą protestanckich baśni. Słusznie też i sprawiedliwie wołają oburzeni krytycy: "Jeśli to prawda co mówi Janssen o drugiej połowie XV stulecia, to reformacja nie ma żadnej logicznej podstawy!". Że zaś faktów przez Janssena przytoczonych nikt jeszcze odeprzeć nie umiał – z przyjemnością więc trzymamy się wniosku: Ergo Janssen zburzył podstawę reformacji.

CZĘŚĆ DRUGA

W tomie następnym, autor *wprost* już udowadnia, że tak zwany prąd reformacyjny nie wytrysnął bynajmniej z głębszych i silniejszych nurtów religijnego życia, ale właśnie z płytkich, powierzchownych, bezreligijnych wyobrażeń i tendencji, czyli mówiąc jaśniej – z łona *młodszeo, niemieckiego* humanizmu, grawitującego całą swą istotą ku dawnemu pogaństwu. Z najściślejszą sumiennością i darem sportzegawczym wprowadza nas autor do wnętrza szkoły młodo-niemieckich humanistów. Na ich czele, o całą głowę wyższy od wszystkich, stoi Erazm Rotterdamczyk, "Wolter XVI stulecia", geniusz niezwykłego polotu, w znawstwie klasycznej starożytności prawdziwie niedościgły, przez wielu uczonych prawie zabobonnie ubóstwiany, mówca znakomity, cięty satyryk, literat wyższego zakroju i wszechstronny bibliofil. Lecz wcześniej już wziął on rozbrat z moralnością i wiarą, teologię jakąś mętną sobie przyswoił, filozofia też płytką była u niego i chwiejną a chwiejniejszym jeszcze cały jego charakter. Studia klasyczne, zamiast służyć tylko jako środek do wykształcenia umysłu, stały się dlań celem, piękna szata klasycznej formy – istotą, duch starożytny tj. pogański – ideałem. Koniecznym więc następstwem rzeczy, musiał on rzucić rękawicę chrześcijańskiej wiedzy, a raczej chrześcijańskiemu humanizmowi uprawianemu przez Agrykolę i innych, który to humanizm ze strony Kościoła najtroskliwszej doznawał opieki i poparcia. Rotterdamczyk wstąpił w szranki bojowe bez dzielności wytrawnego rycerza, tylko z jakąś lekką, dowcipną, satyryczną szermierką. Cały jego arsenał był to lekki, powierzchowny dowcip, gra myśli, blichtr wiedzy, słowem cały ten zasób polemicznych pocisków wygląda raczej na bazar szarmanterii umysłowej niż na dobór zaczepnej broni. Pozornie, nie wyrzeka się on wiary, owszem próżnością i samolubstwem wiedziony, pochlebia kościelnej zwierzchności, lecz za chwilę gotów jest zasadniczą, powszechną naukę tegoż

Kościół, pod pozorem zwalczania scholastycznych błędów, podać w pogardę u ludu. Niemały też zastęp uczonego świata odwiódł on od prawdziwie chrześcijańskiej umiejętności, odsłaniając przed nimi swe pogańskie poglądy na życie, i swą sekularyzowaną moralność. Tym samym rozdzielił już wiedzę na dwa obozy i swe jałowe racjonalistyczne idee "nowej oświaty, chrześcijańskiej filozofii, prawdziwej, teologicznej wiedzy", postawił jako program przyszłości. Młodzież zwabiona świetnością dykcji, różową barwą obrazów i polotem myśli, tłumnie garnęła się do niego; uczeni schylali czoło przed nieomylną jego powagą. Czczą frazeologia, żądza oklasków, zazdrość, intrygi, apologia występków, erotyczność i rozwiązłość – oto charakterystyczne znamiona tych poetyczno-literackich kółek. W sztuce pijaństwa przewyższają oni swych włoskich współbraci, a w innych występkach nie ustępują im wcale. W poezji wysilają się na to, aby potwornym wyuzdaniem prześcignąć starożytnych pogan. Ten nadmiar ohydy i szalonego obłędu zraził Mucjana, który też odtąd nielitościwie począł smagać morderczym sarkazmem swych humanistycznych przyjaciół. Cóż więc dziwnego, że ta moralna kałuża napełniała atmosferę błotnistym wyziewem? Co dziwnego, że z tego grona wyuzdanych żartownisiów coraz szerzej, coraz donośniej wzbijał się okrzyk wojenny przeciw mnichom i mniszkom, przeciw postom i wstrzeźliwości, przeciw pielgrzymkom i nabożeństwom, przeciw starodawnym świętym tradycjom i dogmatom chrześcijaństwa?

Te humanistyczne kółka stanowiły ognisko i załóżek tak zwanej reformacji. Za ich to sprawą uniwersytet Erfurcki, ta świątynia iście katolickich nauk, przeistoczyła się z gruntu w szkołę wojenną najzaciętszych wrogów Kościoła. Pierwszy pochop do tego dał tak zwany "spór Reuchlinowski" *der Reuchlin'sche Streit*. Zbrojny zastęp młodych humanistów wymierzał wszystkie swe ciosy, po największej części w formie potwarczych paszkwilów, przeciw scholastyce i zakonowi. W pierwszych szeregach, jako rzecznik najbardziej wpływowy, występuje Ulrich von Hutten. Rycerz podupadły, szlachecki proletariusz, rewolucjonista najczystszej wody, a pochlebca i pieczeniarski na dworze mogunckiego arcybiskupa. Gorącą pałał on żądzą, aby wzniecić pożar, który by istniejący porządek kościelny i polityczny pogrzebał w gruzach zniszczenia. Stracić nic nie mógł, a zyskać spodziewał się wiele.

Jego paszkwile i satyry przygotowują w umysłach odpowiednie paliwo; a potężny zwolennik nowego humanizmu, moguncki arcybiskup wspiera swym złotem to rewolucyjne apostołstwo. Na koniec kazania o odpustach i jubileuszu ogłoszonym z okazji budowy bazyliki św. Piotra w Rzymie, dają ostateczne hasło do upragnionej i od tak dawna przygotowywanej walki przeciw dogmatom Kościoła. Takim było właściwe źródło kościelnego rozdwojenia w Niemczech. Bunt podniesiony nie miał bynajmniej na celu naprawy obyczajów lub zniesienia nadużyć.

Jakim był początek tej walki takim i cały przebieg dobrze wyrażony w jej wznicieliach i przywódcach. W każdym kierunku czuć się u nich daje najzupełniejszy brak owej świętości i darów nadprzyrodzonych, których zdrowy rozum ludzki od zakonodawców i kościelnych reformatorów słusznie domagać się może i powinien, jako legitymacji ich Boskiego posłannictwa. Luter i Hutten – oto dwaj koryfeusze reformacji. Drugi z nich ohydłą trawioną chorobą, piętnującą go jako niewolnika szkaradnych występków. A pierwszy? Jakkolwiek Dr. Janssen łagodnie i oględnie o nim się wyraża, jednak posąg Lutra ukuty z własnych jego słów i czynów, przedstawia smutną tylko a straszną ruinę ludzkiego ducha. Luter już od dzieciństwa spaczony mając umysł nędzą materialną i złym wychowaniem, w pierwszych zaraz początkach naukowego zawodu, zboczył na błędne tory nowo-humanistycznej szkoły. Ulubiony przedmiot jego studiów stanowią dzieła klasyków – nie księgi biblijne. Zdanie, że "nie masz nic miłszego na ziemi nad miłość kobiety, gdy ona komu przypadnie w udziale", głęboko utkwilo mu w duszy. Ustawicznie chwiejny, miotany na przemian posępną melancholią lub jakimś dzikim niepohamowanym szałem, rzuca się w życie zakonne pod wpływem chwilowego wrażenia dwóch nagłych wypadków śmierci, bez rozważań, bez powołania, party tylko strachem i jakby rozpaczą. Wnosi ze sobą do celi Wirgila i Plauta, a nie wyzuwszy się z wrodzonej sobie krnąbrności i upornej pychy, gardzi jedynie zbawczym sterem posłuszeństwa, i tonąc w morzu dusznych wątpliwości i skrupułów, znowu w rozpacz popada. Aby własną ludzką tylko siłą zdobyć niebo, i jakby przemocą je otworzyć, chwytą się najsurowszej, lecz niedorzecznej ascezy, i całe tygodnie spędza bez pokarmu i napoju; ale rzecz dziwna – w duszy jego rodzi

się gorycz jeszcze przykrzejsza, ani jeden promyk nie rozjaśnił jego wątpliwości, a czarna chmura zniechęcenia i rozpacz przygniata go jak dawniej ołowianym ciężarem. Wszystkich lekarzy, wszelką pomoc i radę, szorstką odpycha ręką, męcząc się samowolnie w tych zapasach bezowocnej walki, w tym grobie letargicznego zwątpienia. Tutaj to wylęła się w jego duszy "teologia rozpacz", płód godny swej matczy. Dotychczas Luter zaufany w swą własną siłę, tą siłą chciał się oczyścić z grzechów i niebo szturmem zdobyć – teraz przeciwnie, myślał o usprawiedliwieniu i wiecznej szczęśliwości bez najmniejszego sił własnych współdziałania. Zaczynał wierzyć, że człowiek skutkiem grzechu pierwotnego stał się na wskroś złym i przewrotnym, że już w nim z wolnej woli nic nie pozostało, że wszystkie jego uczynki, nawet dobre, są tylko wypływem złej, zepsutej woli i konsekwentnie grzechem śmiertelnym, karygodnym wobec Boga; że więc człowieka sama tylko wiara usprawiedliwić i zbawić jest w stanie. Tu dochodzimy do psychologicznych źródeł jego teorii o usprawiedliwieniu, w którym on jakby w głównym artykule wiary, zawiera swą *nową ewangelię*. Nieznacznie a stopniowo oswaja on publiczność ze swymi zasadami. Między r. 1513 a 1516 broni ich w szkole i na dysputach, następnie w r. 1517 głosi je z kazalnicy przed ludem, wreszcie pozyskawszy sobie Wittenberską akademię, występuje z nimi publicznie wobec całych Niemiec. Okolicznościową do tego pobudką był, jak wiemy, odpust głoszony przez Tetzla. W tezach przeciw niemu wymierzonych Luter nie zrywa jawnie z Kościołem, owszem pozornie poddać się chce orzeczeniu papieża, głosząc krucjatę tylko przeciw rzekomym nadużyciom odpustu. W sercu jednak przeciął on już stanowczo wszystkie węzły łączące go z Kościołem i zanim jeszcze grom klątwy spadł nań z Watykanu, już snuła się w jego myśli teoria o niewidzialnym Kościele. W r. 1519 powitali go husyci jako brata i współwyznawcę swego. Luter przyjął podaną rękę i już po kilku miesiącach zasłużył sobie na miano dzielnego husyty. Równocześnie i humaniści nie szczędzą mu pochwał, oklasków, uwielbienia, choć oczywiście nie o religię im chodziło. Luter odurzony tą niezdrową atmosferą pochlebstwa chwije się jeszcze przez chwilę, ale kiedy całe rycerstwo pod wodzą Franza von Sickingen i nikczemnego Ulricha von Hutten, nie tylko opiekę, ale i pomoc zbrojną mu przyrzeka, wte-

dy pierchnął ostatni cień wątpliwości czy ludzkich względów, a mnich wittenberski podnosi sztandar buntu z pełną już świadomością i rozważą. Przyjacielowi swemu Spalatynowi z góry już religijną wojnę zapowiada:

”Zaklinam cię, pisał w lutym 1520 r., jeśli dobrze rozumiesz ewangelię, nie wierz temu, żeby jej sprawa, przeprowadzić się dała bez wzburzenia, walk, zamieszek. Słowo Boże – to miecz, to wojna, to zniszczenie, to kamień obrazy, to zagłada, to jad trujący, a jak mówi Amos, jak niedźwiedź w lesie, jako lwica, tak uderza ono na syny Efraima”.

Widząc się bezpiecznym i czując już na swych skroniach aureolę bohatera wieku, puszcza on wodze hamowanym dotąd namiętnościom. W mowie i piśmie nie zna żadnych granic, nawet najprostszej przyzwoitości, jego słowa – to kał uliczny. Z gniewem i wściekłością miota się na dobre uczynki i sakramenty, na papieża, biskupów i zasadniczy ustrój Kościoła. Gdy jednak na sejmie Wormackim cała ewangelia znów w wątpliwość była podana, Luter przerzuca się ponownie w drugą ostateczność – niepewności i rozpaczy. Wprowadzenie do Wartburga uchroniło go od najgorszych następstw takiego stanu, ale i w tym odludnym schronisku nie zaznał on pokoju. Widmo zbrodni stanęło mu przed oczami, sumienie odzywające się w ciszy, paliło go płomieniem najstraszniejszych wyrzutów. Widmo to odpędzał on, jak sam wyznaje, myślą o wdzięcznych postaciach niewieścich, a ogień zgryzoty zalewał potokami szumiącego piwa. Jakie jednak cierpiał katusze, widać to z jego listu pisanego 25 listopada 1521 r. do Augustianów w Wittenberdze: ”O! jak trudno mi było usprawiedliwić się w sumieniu, żem to ja tylko sam odważył się wystąpić przeciw papieżowi, nazwać go Antychrystem, biskupów – jego apostołami, uniwersytet – domem publicznym... Ileż to razy gwałtownie zadrżało me serce, ileż razy karciło mię i wyrzucało: czy tylko ty jeden jesteś mądrym?... Mielizby wszyscy inni błdzić a błdzić tak długo? A cóż wtedy, jeśliś ty sam na błędnej drodze, jeśli tak wielu uwodzisz, jeśli oni wszyscy będą potępieni?!”. I nie raz jeden, ale często, bardzo często, aż do późnej starości wracają te same wyrzuty, ten sam głos kołacze do duszy i pyta: ”Kto cię powołał do opowiadania Ewangelii w sposób, jakim przez tyle wieków żaden biskup, żaden

święty jej nie opowiadał?”. Z jakąż trwożliwością usiłuje on głos ten zmusić do milczenia! To zastawia się przed nim doktorskim dyplomem, to święceniem kapłańskim, to wmawia w siebie bezpośrednie natchnienie Ducha Świętego, to znów odrzuca konieczność osobnego posłannictwa, twierdząc, że każdy jest tu powołany. “Również patrząc na tylu znakomitych a uczonych ludzi, owszem na największą i najzacniejszą część świata, nadto na ów poważny zastęp mężów świętych, jak Ambroży, Hieronim, Augustyn itd.” – wtedy mu dopiero “jakoś ciężko w duszy i trwożno”. Niemniej i dlatego lęk w nim i żal się budzi, że on ów “Kościół, który pod papieżem tak błogiego zażywał spokoju, przez swą naukę zgorszeniem zranił, rozdarł niezgodą”. Powszechnie znane motto (*Wer nicht liebt Wein, Weiber und Gesang, Der bleibt ein Narr sein Lebelang*) służyło mu zawsze do rozpędzania chmur tych, przynajmniej na chwilę. Aby zaś wynagrodzić sobie te czarne godziny, wpadał on wtedy w gniew niepoohamowany, a raczej we wściekłość, która jak mówią współcześni, miała w sobie rzeczywiście coś demonicznego. Poświadczają to: Wilibald Pirkheimer, Bullinger, Ulrich Zasius. Z katedry, wobec ludu objawiał Luter niezachwianą pewność przekonania, ale w poufnym gronie zupełnie był innym. Jeszcze po 20 latach skarżył się przed jednym ze swych przyjaciół: “Dziwno, że nauce tej nie mogę dowierzać i dlatego sam z sobą w nieprzyjaznym żyję stosunku”. Panegirysta Lutra, Mathesius tak pisał o nim: “Antoni Musa, proboszcz z Rochlitz, mówił mi, że pewnego razu skarżył się przed naszym Doktorem (Lutrem), iż nie może w to wierzyć, czego innych naucza. Bogu niech będą dzięki i chwała, odrzekł Luter, że przecież są ludzie, którzy tych samych doznają trudności, myślałem, że tylko mnie samemu one uczuć się dają”. Smutkiem, a to bez granic odbrzmiewa echo krwawych walk w głębi jego duszy staczanych: “O! jam widział straszliwe widma, okropne poczwary... gdyby innemu przyszło to wycierpieć, co ja wycierpiełem, dawno już byłby umarł: często a schodził do piekła, a Bóg mię wyprowadzał stamtąd... Ten duch ponury, który mną władnie – to moje sumienie”. Jakież rady dawał on sobie samemu, by zwalczać te mary? “Trzeba głębiej, wołał, zaglądać do dzbana, śmiać się i bawić, na złość diabłu grzech jakiś popełnić. Szatańskie myśli – szatańskimi odpędzać myślami: przedstawić sobie postać nadobnej dziewczyny, unieść się

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA	3
CZEŚĆ DRUGA	19
CZEŚĆ TRZECIA	34
CZEŚĆ CZWARTA	52
CZEŚĆ PIĄTA	63
CZEŚĆ SZÓSTA	77
CZEŚĆ SIÓDMA	93